

„CZY TO JUŻ POLSKA?”

Zeznania przytoczone poniżej przedstawiają dramatyczne przeżycia młodego mieszkańca Augustowa, który z Syberii wrócił dopiero po 22 latach tułaczki.

Z perspektywy pięćdziesięciu lat staram się zrozumieć, co dało mi siły do wyjścia cało z katastrofy zderzenia idealnego świata moich 18 lat ze światem bezprawia, przemocy, zakłamania i nienawiści do człowieka. To nie tylko to, że rosnąc w zagrodzie rolnika, nauczyłem się rzetelnie pracować, stałem się silny, sprawny fizycznie i zdrowy, ale również owo codzienne, cierpliwe i żmudne wpajanie we mnie w rodzinie, szkole i harcerstwie ludzkich zasad współżycia i umiejętności oceny własnego postępowania. Z wieczornego pacierza, z upomnień ojca i matki uczyłem się wartości prawdy i szacunku dla człowieka. [...] Z radością więc i dumą zdobywałem harcerskie sprawności i marzyła mi się praca na lotniczym poligonie, gdzie miałem się znaleźć 1 września 1939 r. Tego ostatniego szczęśliwego lata, jako członek Drugiej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego, pod kierunkiem komendanta Mieczysława Lewickiego, drużynowych Władysława Alajstra i Franciszka Lipińskiego, przechodziłem kurs przysposobienia wojskowego i specjalnego szkolenia antydywersyjnego, które prowadził instruktor Pierwszego Pułku Ułanów Krechowickich, pan Jan Gąsiewski. [...] Nikt z nas jednak nie myślał podczas pamiętnych dni spędzanych na harcerskich obozach, że staniemy wkrótce w obliczu konieczności sprawdzenia naszych sprawności, że słowo „wojna” stanie się tragiczną rzeczywistością. Już we wrześniu cała nasza grupa pełniła służbę przy mostach, szosach, telefonach. A potem ruszyliśmy z oddziałami wojska pod Puńsk, po czym, na niewiarygodną wiadomość o najeździe ze Wschodu – w kierunku Grodna. [...] W poczuciu bezsilności, kryjąc się i klucząc, 22 września znaleźliśmy się nad Bystrym Kanalkiem, opodal Augustowa. Tu nasz oddział został rozwiązany, zakopaliśmy broń i każdy ruszył w swoją stronę. Nieświadomi metod najeźdźcy, paradowaliśmy po mieście w mundurach. Dopiero na wieść, że sowieccy czołgiści zabijają po drodze bezbronną polską żołnierzy i ludzi pracujących w polu, schowaliśmy wojskowe uniformy. Zaczęła się konspiracja. Przekazywaliśmy wiadomości, śledziliśmy donosicieli, penetrowali granice. W październiku otrzymałem zadanie – przeprowadzić z Białegostoku do Suwałk oficera z żoną. [...] Po przyjeździe z moimi podopiecznymi do Augustowa i wyszukaniu łódki, nocą, kryjąc się w szuwarach, gdyż po tafli jezior Necka i Rospudy coraz to ślizgały się światła reflektorów, dopłynęliśmy do Szczebry i nad ranem byliśmy już za niemiecko-radziecką granicą. Młoda żona oficera była w ciąży i poczuła się słabo. Zapukaliśmy więc do najbliższej chałupy – i tak zaczęła się moja „droga przez mękę”. – *Hände hoch!* – krzyknął niemiecki żandarm. Wieczorem kobietę wypuszczono, porucznika gdzieś poprowadzono, a mnie zamknięto wraz z kilkoma innymi w areszcie. Już leżał śnieg, kiedy nas dwunastu Niemcy odstawili na granicę i kazali wracać do Augustowa. [...] Tymczasem śladem moich stóp na śniegu szedł sowiecki posterunek!

Przerzucano nas z aresztu do aresztu, badano pobieżnie, aż w lutym 1940 r. zamknięto w grodzieńskim więzieniu. Tu zaczęło się „porządne”, dziewięciomiesięczne śledztwo. Ja i moi dwaj kamraci [...], zapisani w rubryczce *niemieckij szpion*, wywoływani byliśmy zawsze w nocy, pytani stale o to samo. Osłabieni głodem i brakiem snu, ani razu nie zmieniliśmy swoich zeznań – nie wiedzieliśmy tylko, że inny nasz koleżka [...], mając odmrożone nogi



Zesłańcy polscy w Kazachstanie. Mamlutka, sowchoz Bielówka (ze zbiorów „Karty”)

i łudzony, że go wypuszczą na leczenie, załamał się i podpisał oświadczenie, że cała nasza grupa wysłana została przez Niemców w określonych celach! [...] Kiedy w październiku spędzono 200 więźniów do dużej sali, niektórych trzeba było trzymać pod ręce. „Hurtowy” wyrok, jaki nam odczytano, nie zrobił żadnego wrażenia. „Jako specjalno-wredny element jesteście skazani z artykułu 58 par. 6 na osiem lat łagru”. No i dobrze! Nareszcie coś się zmieni [...]. Na dworcu rzucono nas w śnieg, na kolana. Zsiniali z zimna czekaliśmy, aż do podstawionych wagonów załadowano jakiś transport kobiet i dzieci. Potem my – na gołe deski, otwór w podłodze do załatwiania się, chłód, dwa razy dziennie suchary i garść suszonej ryby. Ciągły krzyk – „Wody!” – jechał razem z nami. Nawet kiedy ktoś chciał ją podać na przystanku – odpędzano. [...] Po miesiącu i trzech dniach – *pieresielnyj punkt* pod Archangielskiem. Jakiś lekarz opukał nas *pro forma* młoteczką, mnie powiedział – „Jesteś zdrow jak młody byczek” – i wkrótce 700 osób załadowano na barki na Dźwinie. Po dwóch dniach, w zaduchu i ciasnocie kabin, myśleliśmy tylko o jednym – wyjść na brzeg, dotrzeć do baraków, wyciągnąć się na pryczy i zasnąć. Wkrótce holujące nas kutry zacumowały przy brzegu. Przed nami – pokryta śniegiem polana, dookoła piękny wysokopienny las... Wysiadamy. Stoimy podzieleni na grupy, otoczeni strażą. Pierwszy rozkaz komendanta: „Od jutra ze spożywanych przez was sosen zaczniecie budować baraki i prycze. A teraz część przygotowuje opał na ogniska, a część naściągga gałęzi, na których będziecie spali”. [...] Dwa tygodnie pokładaliśmy się dookoła ognisk na podściółce z sosnowych gałęzi, głodni i zziębnięci. Po miesiącu zakopywaliśmy pierwszych zmarłych, tych bez ciepłej odzieży, w letnich sandałkach na nogach. Po miesiącu dostarczono nam jednak waciaki, uszanki, rękawiczki, po roku –

walonki. A więc karczowanie lasu w coraz większym śniegu przy 30 stopniach mrozu w trzewikach! Radziliśmy sobie w różny sposób – pod podeszwy stóp owiniętych szmatami wsadzaliśmy kawałki grubej kory albo wycinanej ze starych opon gumy. Zanim mróz spadł do 40 stopni, mając marne siekiery i piły, sklecieliśmy jednak kilkanaście baraków bez okien i fundamentów, ale z pryzcami i piecykiem z beczki po nafcie pośrodku. Zabezpieczyły one nas nie tyle od zimna, co od zamrznięcia. Od dnia, w którym nad bramą zony ukazała się nazwa łagru „Komandirówka Putiewaja”, zaczął się nasz normalny, katorżniczy żywot. Zadanie: wyrębać i wykarczować w lesie pas 200 m szerokości, usypać środkiem wał ziemi pod tor kolejowy, mający połączyć Kottłas z Murmańskiem. Praca w zimie od godz. 10 do 14, w lecie – od 7 do 18. Jedzenie dwa razy dziennie – 600 gramów chleba, 350 gramów kaszy i lura z brukwi, kapusty, czasem kartofle bez mięsa i tłuszczu, czasem wrzątek zarzucony igłami sosnowymi. [...] Na ogół każdy z więźniów myślał o sobie. Było to szczególnie widoczne, kiedy razem ze zdrowymi szli do pracy chorzy. A zdarzało się to co dzień, gdyż lekarz obozowy, Koreańczyk Kim, miał prawo zwolnić z pracy 30 osób na 300. Reszta chorych, w gorączce, plującą krwią, ślaniająca się na nogach, prowadzona nieraz pod rękę, kładła się na porębie na śniegu i dobrze było, jeśli jakaś litościwsza dusza rozpałała przy nich ognisko. Na ogół brakowało na to czasu. Jeśli ktoś nie wyrobił normy, dostawał pół porcji chleba, a kto się „zalenił”, był stawiany przez strażnika na pieńku, odbywał „stójkę” przy 40 stopniach mrozu, a już taki, co „zabumelował” 3 dni, dostawał dodatkowych 10 lat za sabotaż. Do roboty się nie szło tylko przy minus 45 stopniach. W baraku było zimno, głód. Ciągłe ubrani i w czapkach, nie myjący się od miesięcy, zaczęli ludziska puchnąć, płuc zębami, tracili siły w nogach, nekani krwawą biegunką, umierali w małym lazarecie bez lekarstw, w barakach, na porębie. W lecie było lżej, ale straszna zima 1940–1941 z mrozem do 60 stopni zebrała takie żniwo śmierci, że do następnego łagru dojechało z 700 osób tylko 70! [...]

Prócz zimna i głodu dręczyły nas jeszcze wszy. Zgarniało się je garściami, drapiąc ciało do krwi, a w lecie – nowa plaga – meszka. [...] Dostawała się do uszu, nosa i zalepiała oczodoły. [...] Na porębie rozpaliliśmy ogniska – dym pomagał, ale zaczęły się choroby oczu: zapalenie i kurza ślepotą. [...] Fizyczna udręka i codzienna walka o życie zostawiała człowiekowi jedno tylko pragnienie – przetrwać. Wszystkie subtelniejsze uczucia zniknęły. Ci, co nie potrafili w sobie zdusić tęsknoty za swoimi, za wolnością – ginęli pierwsi. Zrozumiałem to już w 1940 r. Jeszcze żywe w nas były wspomnienia rodzinnego domu. Mielismy dopiero po 19–20 lat! Postanowiliśmy wraz z dwoma kolegami urządzić sobie Wigilię. Drewniany anioł stanął na czubku drzewka, migotały wycięte z blach gwiazdki, kotysały się przybrane w kolorowe szmatki szyszki, smolne łuczyczo zamiast świeczki. Przełamaliśmy się czarnym sucharem, zakąsili rozgrzaną kaszą i choć żal ścisnął serca i oczy zwilgotniały, zanuciliśmy *Bóg się rodzi...* Po chwili otaczający nas kręgiem kamraci, a byli wśród nich Tatarzy, Ukraińcy, Rosjanie, Chińczycy, Żydzi i Cyganie – podśpiewywali refren. Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi. Rozjuszony komendant z dwoma strażnikami rzucił się w naszą stronę z wrzaskiem: „*Wy polskije bladzi, paniczyki, swotocz!*”. W sekundę dookoła nas utworzyła się pustka, choineczka zakreśliła łuk, krzyżyk mignął pod sufitem i uderzenia posypały się na nasze głowy. Leżeliśmy już na podłodze zalani krwią, kiedy nas jeszcze bił i kopał. Kiedy klnąc wybiegł za drzwi, życzliwi ułożyli nas nieprzytomnych na pryzkach. Około północy oprzytomniałem, w głowie mi się kręciło, po raz pierwszy zapragnąłem śmierci. Wybiegłem na mróz, padłem na śnieg, zacząłem zasypiać, ogarniał mnie coraz większy spokój. I nagle usłyszałem głos matki: „Pamiętaj, żebyś nigdy nie nałożył na siebie ręki!”. Chwiejnym krokiem wróciłem na pryzkę, rozmyślałem do rana. Zrozumiałem, że jeśli mam



Grupa osadników wojskowych z Wołynia deportowanych w 1940 r. do obłastii wołogodzkiej. Zdjęcie wykonano po ich wyjściu z więzienia w 1941 r. (ze zbiorów „Karty”)

jeszcze zobaczyć swoich, muszę się pozbyć jakichkolwiek wzruszeń, wspomnień. Muszę nie dopuszczać do siebie myśli o hańbie, poniżeniu i niesprawiedliwości. I to prawie mi się udało. Nawet nie zapłakałem na widok listu z domu. Dotarł do mnie po dwóch latach. Był to jedyny list, jaki otrzymałem w niewoli. Nawet nie wiedziałem, że moi rodzice z braćmi [...] wywiezieni zostali ostatnim, tragicznym, bo jadącym pod niemieckim ostrzałem transportem (czerwiec 1941) na Sybir. Nie wiedziałem, że mój ojciec zmarł tam z głodu w 1944 r. Moi wrócili w 1946 r. do Polski, ale żaden z pisanych przeze mnie listów do nich nie doszedł.

Po tej niestychanej poniewierce, jaką przeżyliśmy w łagrze „Komandirówka Putiewaja”, przewieziono nas do osiedla „Tałagi”, 18 km od Archangielska. Na razie odczuliśmy to jako zmianę na lepsze. Zona odgrodzona wprawdzie wysokim płotem z przylegających do siebie pali uwiecznionych drutem kolczastym, ale w barakach na pryczach sienniki, koce, światło elektryczne, piece, drewniane podłogi, ubikacje w podwórzu, co tydzień kawał mydła w łaźni, szpitalik, odwszalnia, kuchnia, stołówka, a nawet świetlica i różne warsztaty. [...]

Zanim odbyłem swoje osiem lat, przeszedłem jeszcze przez trzy łagry. Każdy był urzędzony z pozorną troską o człowieka i każdy miał swoje odrębne, diabelskie oblicze. W każdym działo się coś haniebnego, zamieniającego życie w koszmar. Między tysiącami sterroryzowanych, niewinnych ludzi a reżimem toczyła się codzienna, uporczywa walka o przetrwanie. Tylko o przetrwanie. Bardzo rzadko się zdarzało, i to raczej u tych niedawno przybytych, że stawali w obronie godności i honoru. [...]

W łagrze „Tałagi” [...] pracowało się w różnych warsztatach, w kuchni, ale najczęściej wysyłano nas do portu rozładowywać amerykańskie okręty i wagony towarowe. Tu Rosjanie z wolności szepnęli czasem to i owo. Postyszeliśmy o Sikorskim, o wojsku polskim, o amnestii. Komendant łagru uznał to za niebezpieczną plotkę polityczną [...]. Pamiętam, jak nas podniosła na duchu wiadomość, że ksiądz z Wilna, skazany na 25 lat, uciekł. Po prostu

poszedł przed siebie w stronę bagien. Psy go wytropiły i po południu był już z powrotem. Ustawiono nas twarzami do siebie, a ksiądz w białym, szczuty psami, popychany kolbami, musiał biec środkiem tam i nazad, aż prawie nagi, zalany krwią, padł bez przytomności. Ale wkrótce przestały obchodzić mnie cudze sprawy. Ciężko zaniemogłem. A zawiniły pluskwy – te wyjątkowo żywotne i przemyślnie bestie. Nie pomagało ani okurzenie siarką, ani kilkogodzinne wietrzenie baraków przy czterdziestostopniowym mrozie. Nawet przy zapalonym świetle spadał na nas z sufitu czerwony grad. Dziesiątki ukłuć i ciało pokrywa się swędzącymi cętkami. Sen zamienia się w męczące drzemanie. Spragniony wypoczynku, złapałem któregoś zimowej nocy koc, pobiegłem do świetlicy i tam na podium zasnąłem. Rano gorączka 40 stopni, obustronne, ropne zapalenie płuc. Umieszczono mnie w baraku zwanym umieralnikiem. 12 dni siedziałem w nim oparty o ścianę, a każdy mój bolesny oddech zdawał się ostatni. Od bezruchu drętwiało całe ciało, co chwila traciłem przytomność, a w przerwach pragnąłem śmierci. Ale znalazł się człowiek, który mi współczuł. Był to lekarz, Żyd z Lidy. Zaczął mnie okładać plastrami płótna smarowanego musztardą – innych leków nie miał. Skóra była bliska odparzenia, ale po kilku dniach poczułem się lepiej i stopniowo zrodziło się we mnie jedno tylko pragnienie – Jeść! Zacząłem się już pokładać na swojej dolnej pryczy, a było ich wszystkich cztery. [...] Kładziono na nich więźniów, którym już nic pomóc nie mogło – spuchniętych, jęczących w malinie, pokrytych wrzodami, z biegunką. Póki słaniając się docierali do kibla, było pół biedy. Ale kiedy osłabli, leżeli we własnych ekskrementach, stopniowo cichli, umierali. Cela miała jednak pewne przywileje – chorym należała się dodatkowa porcja – 2 deka masła i tyleż cukru. Więźniowie obsługujący walili w drzwi, wykrzykując pytanie: „*Padoch kto nibud’?*”. Odpowiadałem „*Nie*” i zabierałem cztery porcje, które znikwały natychmiast w moim żołądku. Bardzo rzadko ktoś z umierających oponował. [...] Oni konali, a ja dochodziłem do siebie. A na moje pytania, czy grzeszę, Bóg nie odpowiadał... Po dwóch miesiącach wyszedłem z baraku – istne straszdyło na drżących nogach. [...]

W połowie 1945 r. przewieziono mnie do „*Koniecznaja*”. Łagier urządzone jak inne. Pracowałem tylko w stolarni. [...] Niektórzy komendanci pozwalali mi na kilkakrotne wysłanie podań do *Wojenkomatu* z prośbą o wcielenie do polskiej armii. Otrzymałem 10 jednokowych odpowiedzi: „*politicheskich nie bieriom*”.

Tymczasem nastał w „*Koniecznaja*” uroczysty dzień. Przed pójściem do pracy wyczytano z listy 40 nazwisk. Amnestia! Wychodzę na wolność! Ogłupiały ze szczęścia spakowałem tobołek, rano wyjeżdżamy! Kiedy już staliśmy w szyku przed bramą, komendant zarządził: „*Gen. Łabęcki, jeszcze dwóch oficerów i ja – zostajecie w łagrze do dyspozycji NKWD w Moskwie*”. Pociemniało mi w oczach, płakałem... W zimie 1946 r. przeżyłem jeszcze jeden osobisty dramat. Wezwano mnie do biura z żądaniem, żebym podpisał zgodę na przyjęcie sowieckiego obywatelstwa. Odmówiłem. Zamknięto mnie w karcerze [...]. Trzy doby bez jedzenia i spania. 30 stopni mrozu. Znowu odmówiłem – nowe trzy dni. Spróbowałem jeszcze raz. Na dziewiąty dzień, kiedy już nie miałem siły wstać, zrozumiałem – nie wytrzymam. Podpisałem. Za tę chwilę słabości zapłaciłem 12 latami „*wolności*” w kraju zapomnianym przez Boga. [...]

Nikt ze skazanych nie wiedział, kiedy go wypuszczą. I oto niespodzianie dnia 18 lutego 1948 r., kiedy więźniowie już wychodzili grupami do pracy, zjawił się naczelnik, wyczytał moje nazwisko i dodał: „*Atsidieł od dzwanka do dzwanka*” [...]. Nikt nie pomachał mi nawet ręką na pożegnanie. W biurze dano mi dokumenty, przepustkę, 500 rubli (kilo chleba – 250), paczkę zbożowej kawy, dwa kilo chleba, kilo suszonej ryby. Zebrałem w wążek moje nędzne łachy, sprawdziłem, czy mam list dany mi przezrocznie pół roku temu przez współwięźnia, Tatara Fiodora, do jego rodziny w Kazachstanie, i stanąłem oszołomiony za

bramą zony. Zacząłem iść, co raz przystawałem, chowałem się za drzewo i patrzyłem, czy nikt za mną nie biegnie z karabinem gotowym do strzału. Na stacji ktoś mi pomagał, ktoś klepał po plecach, wpełchnął do wagonu, posadził w kącie. Natychmiast zakryłem czapką twarz, a przy każdym sprawdzaniu dokumentów serce podchodziło mi do gardła. Upłynęło kilka dni, zanim zacząłem rozmawiać z sąsiadami, ale uwierzyłem, że jestem wolny, dopiero w Czymkencie, gdzie w małym domku mieszkała rodzina Fiodora. Przyjęli mnie jak swego. [...] Czułem się jak Hiob z Pisma Świętego, którego Pan Bóg przywrócił do łaski. Niestety, pobyt w Czymkencie okazał się na stałe niemożliwy, zesańcy nie mieli prawa mieszkać w miastach. Musieli się tam tylko zjawiać co pół roku na milicji dla zmiany paszportu. Wkrótce moja przybrana rodzina odprowadziła mnie do pobliskiego kołchozu, gdzie osiedleńcy, przeważnie Rosjanie, przyjęli mnie serdecznie, jak swego. Zacząłem wyrabiać dla kołchozu ule [...]. Pewnego dnia, po powrocie z miasta, zastałem mój warsztat opieczątowany. Urząd Skarbowy wezwał mnie do zapłacenia podatku. [...] Uciekłem do Karagandy. Tam wyczytałem ogłoszenie, że przyjmują do pracy przy budowie linii kolejowej [...]. Pojechałem. Część zatrudnionych nie wytrzymała ustalonego reżimu, który mało różnił się od kategorii. Ludziska uciekali, ginąc z wycieńczenia i głodu w niezamieszkanym obszarze ziemi niczyjej. [...] Ale i ja miałem dość. Kiedy kierownik podsunął mi do podpisania sprawozdanie, w którym figurowało 12 nieistniejących mostów, wymówiłem pracę. [...] Coraz mocniej tęskniłem do powrotu. Coraz więcej ciążyło mi nędzne, monotonne życie, urozmaicane upijaniem się do nieprzytomności w państwowym święcie. Co raz to wysyłałem listy do domu – ciągle bez odpowiedzi. Nie wiedziałem, że moi szukają mnie od lat.

I oto stał się cud! Stemplując swój dowód osobisty w biurze milicji, zobaczyłem na stole pod szkłem pismo z nazwiskiem. Przecież to mój brat! Pytam, co to za sprawa. I słyszę: „To już rok leży. Ktoś szuka brata”. „Ależ to mnie szuka!” – wykrzyknąłem. „A któż to może wiedzieć, że ciebie? Idź sobie! Albo jak chcesz, to weź ten adres”. Tak zaczęły się starania o wyjazd. [...] Niestety, z Moskwy nadchodziła stale ta sama odpowiedź: - „W Polszu nie-lizia”. Rozgoryczony, wykrzyknąłem raz w biurze przepustek: „Jeżeli tak, przejdę granicę nielegalnie!”. Wezwano mnie po tygodniu. Pani kapitan oświadczyła: „Ty nie pojedziesz, ale wysłałam zaproszenie do twojej matki i siostry”. Zaniemówiłem. Po kilku miesiącach stałem oparty o ścianę, na peronie dworca we Frunze. Czułem słabość w nogach. Zazgrzytały hamulce wagonów, ludzie zaczęli wysiadać, a ja nie miałem siły ruszyć z miejsca. I nagle zobaczyłem je przez kłębny pary. Rozglądały się bezradnie. Przyjrzały mi się obojętnie i szukały wzrokiem dalej. Wyciągnąłem ręce. Szły ku mnie z wahaniem – czy ten czterdziestoletni mężczyzna to ich kochany, osiemnastoletni Janek? Nie wiem, jak długo staliśmy objęci, nie mogąc się do siebie odezwać. Kiedy wreszcie obróciłem głowę, zobaczyłem otaczający nas tłum. Wszyscy płakali. „Mać naszła syna...” – postyszałem szept. [...] Po miesiącu wyjechały. Przez kolejnych 11 miesięcy byłem co tydzień w biurze przepustek. Aż wreszcie pod koniec 1961 r. wywołano mnie z kolejki po przepustkę do Polski. Zatoczyłem się na ścianę. Otrzymałem „Wid na żitielstwo w Polsze” z ważnością na trzy miesiące. Za byle co sprzedałem trochę mebli i ubrań i pojechałem po wizę do Moskwy. Tu strach. Może nie dadzą, może znów aresztują? Już mnie Polacy w kolejce ostrzegali: „Uważaj, co mówisz. Niektórzy znikali z ulicy już z wizą w ręku, bo powiedzieli, że wolą Polskę”. Jakoś mi się udało. Już siedzę w przedziale wagonu Moskwa–Brześć–Warszawa–Wrocław. Znowu się boję, znowu zakrywam twarz, udaję, że śpię. Serce bije niespokojnie i drżą ręce, kiedy pokazuję dokumenty, a po sprawdzeniu mojego węzła przez celników w Brześciu pociemniało mi w oczach i ocknąłem się, dopiero słysząc polską mowę na peronie. „Czy to już Polska?”

Oprac. Tomasz Danilecki